

Maria Ficner z d. Szostak, ur. 6.XII 1926 w domu osadnika piłsudczyka
Zam. w Bobrach pow. Lida woj. nowogródzkie.

Grupy tematyczne: 1,2,3,4,5,6,10,15;

Lata 1925-1940.

Nowosybirsk obłast, Asino.

Ewenementy -----

Janina Wołczuk, kwiecień 1990, Boguszów Gorce

Streszczenie

Rodzina osadnika pochodzącego z Polski centralnej. Gospodarowanie na kresach. Miejscowa ludność - prawosławni Białorusini. Ojciec jako wójt w gminie Rađuń i Skrzybowce. Zachowanie się ludności w czasie wkroczenia wojsk radzieckich. Ludność w Bobrach spokojna, lojalna. Ze wsi Leśniki pretensje do byłego wójta. Aresztowanie ojca. Zbieranie podpisów pod prośbą o uwolnienie ojca. Deportacja rodziny bez ojca na Syberię.

Życie w obozie na 15-ym kilometrze od rzeki Ulu-Juk. Ustawiczny głód. Przyzwoity przełożony obozu Rosjanin Kajgorodow.

Pani Maria Ficner-Szostak posiada z czasów zesłania dokumenty:

1. Legitymację związków zawodowych pracowników przemysłu mięsnego, 1945 r, staż członkowski za lata 1940-1945, wyd. 22.III 1945 r.
2. Legitymację OSOAWIACHIM /obrony przeciwlotniczej i p/chemicznej/ wyd. w maju 1945 r.
3. Dowód tożsamości członka brygady przemysłowej "krasnodieriewieč" wyd. 3.VI 1942 r.
4. Zaświadczenie o ukończeniu kursów dla palaczy-maszynistów.
5. Zaświadczenie o pracy w okresie 18 V 1942 do 15 V 1944.

/w posiadaniu p. Marii Ficner/

II

Maria Ficner z d. Szostak

ur. 6 XII 1926 r.

pochoǳenie: rodzina osadnika piłsudczyka, inteligencje zam. Bobry, pow. Lida, woj. nowogródzkie.

Grupy tematyczne: 4, 10, 12;

Lata 1940-1946.

Asino - Pyszkino - Zacharkowo - Tomsk - Krasnojarski Kraj - stacja Nowo-Pbkrowskaja.

Ewen. Śmierć dwójki małych dzieci w Abozie. Żydzi polscy na Syberii.

Janina Wołczuk, kwiecień 1990, Boguszów Gorce

Streszczenie

Patriotyczny pogrzeb majora Domańskiego. Niesnaski wśród Polaków. Budowanie osady "Warszawa". Opuszczanie obozu, dążenie do większych ośrodków bliżej kolei. Aresztowanie męża zaufania po zerwaniu układów z Sikorskim, zarekwirowanie rzeczy przeznaczonych na pomoc dla deportowanych. Ponowne "ocieplenie", wyjazdy do kołchozów i sowchozów na Kuban. Wczesniejsze akcje "paszportyzacji", przyznawanie ~~paszport~~ obywatelstwa radzieckiego. Opór nielicznych odważnych. Dobre stosunki z ludnością miejscową na Kubaniu. Repatriacja: Żydzi z zapasami złota. Szok na stacji w Katowicach, zetknięcie z powracającymi z robót z Niemiec.

III

Maria Ficner z d. Szostak

ur. 6. XII 1926 r.

pochoǳenie: rodzina osadnika piłsudczyka, inteligencja

zam. Bobry, pow. Lida, woj. nowogródzkie

Grupy tematyczne: 12, 15, 7.

Lata 1940-1946

Polska; jeszcze raz Bobry w pow. Lida.

Janina Wołczuk, kwiecień 1990, Boguszów Gorce.

Streszczenie:

Brak jakiegokolwiek pomocy z PURu. Brak rozeznanie w realiach powojennej Polski. Brak chęci do podjęcia nauki. Powolna stabilizacja. Szacunek dla ludzi uczciwych, tolerancja jako wynik doświadczeń z zesłania. Tragiczne losy najbliższych - zamordowanie dwóch kuzynów w Bobrach przez miejscowych i odwetowa akcja pacyfikacyjna Niemców na ludności wsi Leśniki; przedostanie się ojca do Armii Andersa; choroba i śmierć ojca jako wynik ciężkich warunków po uwięzieniu przez Rosjan w 1939 r, brak dokładniejszych informacji o przeżyciach ojca w ZSRR.

*Hypermystawie do druku rozstrzeżone przez: Janina
Kotowik*

Maria Ficner z d. Szostak ur. 12.06.1926 w Bóbrach /pow. Lida, parafia Nieciecz/, zamieszkała tam do lutego 1940 r, potem deportowana /Asino obłast Nowosybirsk^{potem} Krasnodarski Kraj/, repatriowała się w r. 1946. Obecnie zamieszkała w Boguszkowie Gorcach, ul. Nowotki 9/7, tel. 596.

Wywiad dn. 20. IV 1990.

Rodzice: Stanisław Szostak i Maria z d. Byszewska. Pochodzenie społeczne rodziców - inteligenckie. Ojciec był osadnikiem wojskowym i stąd znaleźliśmy się w Bobrach. Pamiętam niewiele, ale niektóre sprawy znam z opowiadań rodziców, z rozmów z ojcem. Nie było to wesołe. Warunki życia były trudne, gdy rodzice rozpoczynali gospodarowanie był kryzys, a pieniędzy brakowało, rolnictwo stało na niskim poziomie - ziemi były słabiutki, no więc łatwo nie było.

Historia rodziny sięga dalekich czasów. Dziadkowie Szostakowie pochodzili z Ukrainy, rodzina zaś matki przybyła kiedyś do Polski zdaje się z Niemiec, ale przed wojną mieszkali w Warszawie. Szostakowie po przeniesieniu się z Ukaryny mieszkali przez jakiś czas w Jesionkach na Rzeszowszczyźnie, a w ogóle w czasie tej przeprowadzki z Ukrainy zostali okradzeni doszczętnie, tak że dziadek musiał szukać pracy i pracował w cukrowni w Jesionkach. Właścicielami tego majątku byli Jędrzejewiczowie, rodzice późniejszego ministra Jędrzejewicza. Drugi z braci Jędrzejewiczów też zajmował jakieś wysokie stanowisko. Babcia Szostakowa była nawet chrzestną jednego z Jędrzejewiczów, a z tego powodu ojciec często babci dokuczał, bo Jędrzejewicze wywodzili się podobnie z Żydów.

Potem dziadek Szostak przeniósł się pod Warszawę, pracował w cukrowni w Józefowie i później kupił gospodarstwo na Pomorzu. Ojciec mój miał 7-ro rodzeństwa: 3 braci i 3 siostry, z tym że 4-ro z rodzeństwa zmarło.

W 1920 roku babcia Szostakowa wyprawiła 4-ch synów na front. Pożegnała, dała konia, siodło i błogosławieństwo - i poszli walczyć. Ojciec mój zdobywał Wilno, miał Krzyż Walecznych. W wielkim szacunku darzył marszałka Piłsudskiego. Mama w tym czasie pracowała jako sanitariuszka ochotniczka w Warszawie - i tam się rodzice poznali. Po zakończeniu wojny ojciec dostał tę ziemię na kresach, więc się ożenił i przywiózł żonę z Warszawy do Bobrów. A że nie było tam nic, więc dziadkowie postanowili zlikwidować to gospodarstwo na Pomorzu. Cały dobytek został wagonem przewieziony na kresy. Później przyjechała rodzina - dziadkowie Szostakowie i dwie ciocie rezydentki. Nie bardzo było gdzie mieszkać, co jeść. Właśnie wtedy ojciec dostał pożyczkę państwową na zagospodarowanie i zaczął jakoś się urządzać. Matka po przyjeździe do Bobrów była początkowo przerażona gospodarstwem, inwentarzem i otoczeniem /"jakimś bryciem ubranym w zapaskę"/. Ale powoli się przyzwyczaiła. Pod koniec lat 20-ch zmarł dziadek, pochowany jest na cmentarzu w Niecieczy, a

Maria Ficner-Szoistak c.d.

babcia podróżowała od jednego syna do drugiego.

Najstarszy stryj Zygmunt skończył Dublany, był inżynierem-rolnikiem. Pracował w Warszawie w Ministerstwie Rolnictwa. Dwaj stryjowie Józef i Bronisław skończyli Wyższą Szkołę Wojenną i wojna w 1939 roku zastała ich w randze pułkowników, z tym, że stryj ~~Bronisław~~ Józef był w I pułku szwoleżerów i przed samą wojną został przeniesiony do XIII pułku ułanów do Ngwej Wilejki, a stryj Broniek pracował w GISZu /Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych/. Obaj są kilkakrotnie wymieniani w różnych publikacjach /stryj Józef jest znany z AK jako szef z któregoś wydziału; odpokutował to 6-letnim pobytem w więzieniu/.

Osadnikiem był tylko mój ojciec. Życie w tych Bobrach było nieustannym remontem, porządkowaniem. Na pierwszą plan postawiono problem domu. Był tam poprzednio tylko dom pachciarza, bez podłóg, bez podpiwniczenia, z dziurawym dachem. Zabrano się więc do remontów.

Rodzicę nie mogli sobie dać rady z tym gospodarstwem. Ojciec nie dawał rady wszystkiego obrobić. Naszej ziemi było około 18 ha, była też działka stryja, którą ojciec objął /12-14ha/, potem jeszcze ojciec dokupił ziemię po lesie, który wykarczował i chciał ją zagospodarować. Był najemny parobek ze stałą pensją 100 pudów zboża, utrzymaniem krowy, ogródkiem i pewną ilością ziemi pod ziemniaki. Żona tego pracownika doiła krowy, przychodziła do nas do pracy, za którą się płaciło różnie: ~~zimną~~ latem dniówka wynosiła 2-3 złote, a ~~zimną~~ zimą nawet 50 groszy. Pierwszy parobek nazywał się Woszczyło, a późniejszy - Jenko /przyczynił się potem do zamordowania mojego kuzyna na terenie Bóbrów/. Była też służąca, zajmowała się domem, drobiem, sprzętaniem. Nazywała się Zinka, a ze względu na tuszę mama nazywała ją Tuzinką /to była słonica w warszawskim ZOO/. Była to dobra dziewczyna, oddana, serdeczna. Miejscowa Białorusinka.

Wieś Bobry liczyła około 30 gospodarstw. Mieszkali sami Białorusini, prawosławni. Byli to ludzie bardzo spokojni, poczciwi i dobroduszni. Obok były wsie inne. Taka wieś Leśniki była całkowicie komunistyczna, tam na co dzień chodzili z nożami i sztchetami. Z tykimi wsiami nie utrzymywaliśmy kontaktów. A ojciec żył blisko z ludźmi. Ojciec zawsze doradzał, dawał zboże do zasiania czy kartpfla do zasadzenia. Z tym że stawiał warunek: prosząc musieli mówić po polsku. Jak prosili po białorusku, to nikt nic nie dostał. Umieli mówić po polsku. W Bobrach była szkoła polska 4-oddziałowa. Nauczyciel był z Poznańskiego - pan Staszewski. Dawał mi lekcje prywatne, bo do szkoły do 4-ej klasy nie chodziłam. Poszłam dopiero do 5-ej klasy. W Bobrach była szkoła, była cerkiew. Przy tej cerkwi rósł zabytkowy dąb o bardzo grubym pniu. Dąb ten rośnie i teraz, jest uznany przez władze jako zabytek. Szkoła też jeszcze

Maria Ficner-Szostak c.d..

stoi. Cerkiew jest nieczynna, zabita deskami. A mur koło dębu jest cały. W Bobrach był batuszka - Myszkowski. Bałam się go bardzo, bo miał bardzo długą brodę. Miał drobniutką żonę. Matuszka w ogóle nie mówiła po polsku. A moja matka znała rosyjski /oraz francuski i niemiecki/. Wiąc kiedy matuszka miewała gości i pożyczala od matki naczynia i nakrycia, to napisała między innymi, że prosi o "podnos". Ja strasznie się z tego śmiałam, bo nie znałam rosyjskiego. Była więc okazja do wesołych porównań. Przyjaźniliśmy się z nimi, tzn. żyliśmy w przyjaźni. Myszkowski miał bardzo piękne córki. Jedna z nich - pani Wala pracowała na poczcie. W r. 1973 /kiedy byłam w Bobrach/ mieszkała w Lidzie, wyszła za Rosjanina. A w ogóle to przeżyła Rawensbrück. Opowiadała, że kiedy wyszła z obozu, to mogła jechać do Szwecji na rekonwalescencję i potem wybrać miejsce osiedlenia się. Ale ona nie skorzystała z tego. Z oburzeniem odpowiedziała, że ma swoją ojczyznę.

Dla mnie wspomnienia z Bobrów, to wspomnienia dzieciństwa. Na lato do Bobrów przyjeżdżała rodzina z Warszawy, przywozili zawsze coś dobrego. Ale babcia przestraszyła się, że ja zdiczeję na tej Białorusi i w 1938 roku zabrała mnie do szkoły do Warszawy. Płakałam z powodu wyjazdu. W Warszawie babcia mieszkała na Żoliborzu. Najbardziej spodobała mi się prywatna szkoła SS Zmartwychwstanek. Ale chesne w niej wynosiło bodaj 80 zł miesięcznie. Rodziców nie była na to stać. Ale jako dziecku osadnika wojskowego przysługiwała mi 50%-wa zniżka. Stryj Broniek zadeklarował, że będzie pokrywał koszty mojej nauki /nie miał własnych dzieci/. Stryj mój budował się koło nas w Bobrach, planował po przejściu na emeryturę zamieszkać obok nas. Dom był gotowy już w 39 roku. Przyjechała wtedy babcia ze swoją siostrą żeby tam zamieszkać. W Warszawie chodziłam do 6-ej klasy. Po 6-ej klasie można było zdawać do gimnazjum. Stałam przed wyborem gimnazjum - Lida czy Szczuczyn. Ojciec pracował wtedy jako wójt w gminie Skrzybowce, więc zdecydowano się na Szczuczyn. Wróciłam z Warszawy, zdałam egzamin do gimnazjum w Szczuczynie i miałam przed sobą wakacje w Bobrach. Zachorowała moja matka i 1 lipca zmarła w szpitalu w Lidzie. W Lidzie też została pochowana. To był dla mnie pierwszy wielki cios. Byłam na gospodarstwie sama /ojciec był w Skrzybowcach a babcie mieszkające obok nie bardzo mogły mnie wesprzeć/. Jeździłam co parę dni do ojca do Skrzybowców. Już się w powietrzu wyczuwało wojnę.

Ojciec miał motocykl. Na niedzielę przyjeżdżał do Bobrów. Był zamiłowanym myśliwym. Miał dużo broni: dubeltówki, rewolwer, karabin. Wybuch wojny. Ojciec ze względu na to, że był wójtem, nie dostał karty mobilizacyjnej. Ja nadal byłam pozostawiona sama sobie. Zainteresowali się mną sąsiedzi z okolicznych majątków. W Radziwoniszkach mieszkali Kuncewiczowie, tam był mój rówieśnik, w Hołdowie

Maria Ficner-Szostak c.d.

w Hołdowie /5 km od Bobrów/ mieszkali Wołłejkowie, ich córka Inka też była moją rówieśnicą. We wrześniu, gdy zaczął się okres siewów, Wołłejkowie przysłali konie, parobków i nasze pola zostały zasiane /w ramach pomocy sąsiedzkiej/.

Ludzie byli zdezorientowani. Starali się zrobić zapasy /soli, mydła i t.p./. Mój ojciec był przeciwny temu, żeby nie robić paniki. Przed 17-ym września pojechałam do ojca do Skrzybowa, wtedy już likwidowano gminę, wypłacano pracownikom trzymiesięczne pobory z góry. Ojciec wrócił do domu. W drodze powrotnej wstąpiliśmy do Hołdowa. Wołłejkowie pakowali się, szykowali do ucieczki. Bano się bolszewików. Mój ojciec też nie miał o nich dobrej opinii, pamiętał ich bowiem z wojny polsko-bolszewickiej. Dziadkowie mieli też opinię wyrobioną z czasów ucieczki z Ukrainy po rewolucji. Nie można było oczekiwać od bolszewików niczego dobrego.

Niedaleko też był majątek, którego właścicielem był pan Trzeciak. Trzeciak z bratową i z dziećmi chcieli uciekać w stronę Warszawy i zaproponowali, że mnie zabiorą. Ja się zbuntowałam i powiedziałam że nigdzie od ojca nie pojedę, a jeżeli go postawią pod ścianą czy pod drzewem, to ja stanę razem z nim. Wróciliśmy do domu. Spakowaliśmy się z ojcem na wóz /wzięliśmy bardzo niepraktyczny багаż/ i ruszyliśmy z domu /babcie zdecydowały się pozostać na miejscu/. Nasza podróż skończyła się w Lidzie. Tam spotkaliśmy uciekających żołnierzy i uciekinierów, którzy kierowali się na wschód. Wróciliśmy do domu, rozpakowaliśmy się i czekali. Chodziły słuchy, że wieśniacy mogą rabować, napadać. Żołnierzy radzieckich ani Niemców nie widzieliśmy jeszcze. Razem z najbliższymi rodzinami osadników - Czaplów, Wiktoruków i Kimanów /to były bardzo wielodzietne rodziny/ ustaliliśmy nocne dyżury - warty. Ja chodziłam z ojcem. Te rodziny pochodziły też chyba gdzieś z centralnej Polski, tylko żona p. Kimana była miejscowa Białorusinka. Nie utrzymywaliśmy z nimi przedtem stosunków /spory o przysłowiową miedzę i inne drobne sprawy/, a w tej sytuacji zagrożenia nastąpiło między nami pojednanie. Ojciec dał osadnikom swoją broń i dyżurowaliśmy po 2 godziny po kolei. Ale było cicho. Miejscowa ludność zachowywała się bardzo przyzwoicie; ojciec im zawsze pomagał, często bywał swatem na weselach wiejskich. Matka była przedtem sanitariuszką, więc też służyła często ludziom poradami medycznymi, pomagała w różnych wypadkach.

Ale ze wsi Leśniki, zaraz po wkroczeniu Rosjan, zjawiała się do ojca delegacja kobiet z pretensjami, że gmina pobrała od nich worki /worki się pobierało do celów wojskowych, miało to być zapłacone później/. Ojciec tych pieniędzy na worki jeszcze nie dostał. Od nas też zostały pobrane worki, koń, który miał książeczkę wojskową i wiele innych rze-

Maria Ficner-Szostak c.d.

czy, ale myśmy nie dochodzili od nikogo zapłaty. Ale te kobiety się odgrażały. Byłam wstrząśnięta, gdyż ojcu po raz pierwszy zarzucono nieuczciwość.

24 września, w niedzielę, przyszło kilka osób z czerwonymi opaskami na rękach, cywilnych, chyba ze Skrzybowców i okolicznych wsi /nie znałam tych ludzi/ i aresztowali ojca. Nie pozwolili mu niczego wziąć, mówili tylko po rosyjsku. Płakałam głośno, więc jeden z nich zwrócił się do mnie po polsku i pozwolił ojcu przynieść czapkę i marynarkę. Wtedy też aresztowano wszystkich z okolicznych majątków, ale kobiety wypuszczono, a mężczyzn zatrzymano. Następnego dnia pani Wołłejkowa przesłała mi zegarek i obrączkę ojca, które zdążył zdjąć i przez nią z aresztu przekazać. Wtedy po raz ostatni widziałam mojego ojca.

Ojciec był w więzieniu sowieckim, potem dostał się do armii Andersa, ale zdrowie miał bardzo zniszczone. W Anglii leżał już tylko cały czas w szpitalu i zmarł w 1948 roku w wieku około 50 lat. Kiedy ojca zabierali, żadnych zarzutów nie stawiali, ani nie wyjaśniali na jakiej podstawie go aresztują. Zabrali i po wszystkim. Nie mogłam niczego się o ojcu dowiedzieć. Poradzono mi, żebym zbierała podpisy we wsiach, że ojciec był dobry, nikomu nie czynił krzywdy i t.p. Jeździłam więc po chałupach, kłaniałam się nieznanym ludziom, przeszłam wiele upokorzeń. I tak przez całą jesień. Jedni podpisywali, drudzy drwili.

Z zebranymi podpisami pojechałam do Lidy pod więzienie /bo w Lidzie było duże więzienie/. Zapytałam strażnika przy bramie, czy jest tu mój ojciec. Odpowiedział, że jest. Wróciłam więc do domu zrobić paczkę. Poradzono mi, żebym na koszuli na lewej stronie napisała do ojca. Zrobiłam to. Pod więzieniem w Lidzie stały tłumy ludzi, tak dużo było aresztowanych.

taśma I str. B

Zawiozłam paczkę, odstałam kilka godzin i paczkę podałam. Nie wiem, nigdy się nie dowiedziałam, czy ojciec tę paczkę dostał.

10 lutego zabrano mnie /1940 r./, z babciąmi. 8 lutego pojechałam znów z paczką do ojca. Zatrzymałam się u pani Wołłejkowej z majątku Hołdowa, która wtedy zamieszkała w Lidzie. Nocowałam tam, bo w ciągu jednego dnia nie zdążyłam tej paczki podać. Poszłam poza tym na cmentarz na grób matki. Wtedy w Lidzie zaczęto mówić, że wywożą osadników, leśników i urzędników. Nie zdawałam sobie sprawy, co to może oznaczać. Wróciłam na stację Kurhan /od nas 5 km, najbliższa stacja na trasie do Lidy/. Tam dowiedziałam się, że moje babcie chyba wywieziono. Dobiegłam z Kurhanu do domu. Tam już części rzeczy z domu nie było. Dowiedziałam się, że babcie moje zabrano. Parobek już się kręcił po moim domu. Już wcześniej rozdałam sporo rzeczy ludzioro na przechowanie /tak mi radzono/, najwięcej oczywiście dałam parobkowi. Był on więc za-

Maria Ficner-Szostak c.d.

interesowany, żeby tych rzeczy nigdy nie zwracać. Od czasu aresztowania ojca babcie przeprowadziły się z domu stryja do mnie - tak było łatwiej mieszkać i bezpieczniej. A w domu stryja zostały zakwaterowane żołnierki, które zgłosiły się do władz radzieckich o pomoc. Wzięto też ode mnie krowę i dano im. Ale to nie ucieszyło kobiety, która tę krowę dostała, bo nie miała jej czym karmić. Więc uzgodniłyśmy, że będę jej dawała mleko, a krowa pozostanie u mnie. Te żołnierki były z Bobrów, mężowie ich byli zmobilizowani przez władze polskie. Rosjanie bardzo szli na rękę temu ludowi i jak Zorra zabierali bogatszym i dawali biednym. Było nawet sporo smieszności, bo np. z majątku w H_ołdowie dano chłopu lustro-tremo. Ponieważ lustro to nie mieściło się w chacie u chłopca, więc postawił je w stodole. Krowa przestraszyła się swego odbicia w lustrze i zaatakowała je.

Kiedy zabrano ojca, zjawił się do mojego domu niejaki pan Niczypor i przedstawił się jako przedstawiciel władz radzieckich i zabrał się do rewizji mieszkania. Szukał prawdopodobnie kosztowności, ale ponieważ nic nie znalazł, otworzył szafę i wziął sobie 2 krawaty ojca, żeby się ustroić w nie na zjazd do Mińska.

Wtedy 10 lutego wieczorem spakowałam w pośpiechu trochę rzeczy, m. in. lampę naftową włożyłam do pudła po kapeluszach, wzięłam kołdrę, poduszkę, mięso solone w cebrzyku. Na odchodne stłukłam~~am~~ ze złości serwis do kawy. Nakarmiłam do syta psy i zapakowałam się na sanie, którymi powoził parobek. Ze mną razem była pani Woktorukowa - sąsiadka osadniczka. Jej syn chodził w Lidzie do gonnazjum, spotkałam ją więc w Lidzie, razem wróciłyśmy do domu i razem z nią zabrałam się na sanie /ona na drugie/. Wagony naszego transportu stały w Białohrudzie. Po drodze parobek wywalił sanie i nie pozwolił mi pozbierać rzeczy. Pozostałe moje rzeczy były na saniach W^{ik}torukowej. Ale po przyjeździe do pociągu mnie wsadzono do innego wagonu i Wiktorukowa nie zgodziła się oddać mi moich rzeczy. Tak więc wyruszyłam w tę podróż na Syberię właściwie goła.

W Białohrudzie stały chyba 3-4 wagony. Pilnowali je żołnierze radzieccy. Odnalazłam wagon z moimi babciami, które też niewiele miały ze sobą. Nikt nie wiedział, co nas czeka. Zamknęli nas w tych wagonach. W Białohrudzie staliśmy chyba 1 dzień bez niczego - bez wody i jedzenia; potem doczepiono nas do transportu w Lidzie. W Lidzie dostaliśmy chyba wodę. Jechaliśmy 3 dni bez wody, bez jedzenia. Potem przeładowano nas na szeroki tor. W wagonie towarowym było nas ponad 30 osób; były gołe drewniane prycze, ~~dre~~ żelazny piecyk pośrodku wagonu, dziura w podłodze jako ubikacja, skrzynka na węgiel. Trzeba było mieć swoje naczynia na wodę /kiedy zaczęto dawać wodę/. W wagonie były nity żelazne, zbieraliśmy więc szron, żeby zwilżyć usta. Warunki były nie

Maria Ficner-Szostakowa c.d.

do opisania. Zaczęły się także niesnaski w wagonie. Spotkali się tu różni ludzie. Ze znanych mi zabrane były trzy rodziny: 1. Szostaków - moja babcia Jadwiga /chyba 78 lat/, Maria Berger - babci siostra /chyba 80 lat/ i ja /13 lat/; rodzina Kimanów - razem 8 osób /w tym 6 dzieci/; rodzina Wiktoruków - 7 osób, w tym 5 dzieci; rodzinę Czapłów - 10 osób, w tym 6 dzieci oraz matka i siostra pani Czapłowej /Józia Bancewicz/. Nazwisk tych, co byli w naszych wagonie, nie pamiętam. Wiem, że była rodzina Szurmiejów, ten pan stawiał opór, kiedy go brali, więc go wrzucili związanego i bosego na sanie i miał odmrożone nogi i przez całą drogę potwornie cierpiał, bo mu od kości ciało odpadało. Pamiętam panią Wasilewską, bo dała mi się we znakim. Ona była z dwojgiem dzieci i ze szwagrem, bo mąż uciekł, kiedy ~~mnich~~ ich brali. Ta baba doprowadzała mnie do szału. Była wszystkowiedząca, pyskata. Chwaliła komunizm, bo nie w nim panów, że teraz będzie pracowała tylko na siebie, że dla niej się życie dopiero zacznie. Zaoponowałam, wtedy zagroziła, że da mi w mordę. Byłam więc cicho, bo nie byłam taka silna, żeby zrobić to samo.

Jechaliśmy cały miesiąc. Dowieziono nas do stacji Asino /końcowej stacji kolei żelaznej/. Tam nas wyładowali. Stał cały szereg zaprzężonych sani z woźnicami. To byli kołchoznicy z odległych kołchozów, których na zimę przysłano do pracy do tajgi. Oni zostali zaangażowani do przewiezienia nas. Jak jechaliśmy wagonami, to co parę dni odplombowywali wagon - wypuszczali po wodę. Można więc było wtedy załatwić sprawy fizjologiczne pod wagonem. Był wybrany starosta wagonu i on na postoju mógł zgłaszać sprawy do załatwienia, np. chorych. Wtedy przychodziła sanitariuszka z watą i bandażem. Tego pana Szurmieja smarowała niby jakąś maścią, ale to niewiele pomagało. Z naszego wagonu wszyscy dojechali do Asino. Ale przed Uralem przysłała do wagonu jakaś komisja - stwierdzono, że mamy bardzo ciasno w wagonie i bagaże /były to przeważnie kufry/ kazano przenieść do dodatkowego wagonu. Ludzie to przenieśli i te rzeczy jadą do dziś. Niektórzy więc zostali bez łyżki, bez miski, bez koszuli, bez niczego. Kufer zabrany przez moje babcię też tam jest. Nie pomogły żadne upominania się w Asino o te rzeczy.

Asino. Nie pamiętam, czy dali nam tam goracej wody. Chyba dali nam chleba. Załadowali nas na sanie. Ja miałam 3-częściowy włosiany materac. Usadziłam więc babunię. Ja miałam na sobie długie buty po mojej zmarłej mamie i taką samodziałową kurtkę. Co jakiś czas schodziłam z tych sanek i biegłam, żeby się rozgrzać, bo to była Syberia i zima. Jechaliśmy zawsze w dzień. Wieczorem zatrzymywaliśmy się - przy trasie były takie chatki - tam według zwyczaju było drewno, zapalki i woda. Kiedy się te chatki ~~ni~~ zostawiało, to należało też pozostawić

wszystko przygotowane dla następnych podróżnych. Nocowaliśmy więc w takich chatkach w strasznej ciasnocie. Woźnice szli do osobnego pomieszczenia, nas nikt nie pilnował, uciekać nie było gdzie, nikt nawet o tym nie myślał. Tak jechaliśmy trzy dni od rzeki Ułu-Już na 15-ty kilometr /najdalej/. Po drodze zostawiano poszczególne rodziny. Komendantura w miejscowości Zacharkowo oddalona była właśnie o 15 km. W naszym obozie było chyba 5 baraków. Był sklep, piekarnia, łaźnia i budynek administracji, w którym mieszkał nasz naczelnik - Kajgorodow. Był to bardzo porządny człowiek, ślicznie grał na akordeonie. Zachowywał pozory naszego pana i władcy, ale to był naprawdę ludzki człowiek.

Obóz na 15-ym kilometrze. Baraki były bardzo zapluskwione. Prycze po obu stronach. Piec. Ilość prycz dostawało się w zależności od wielkości rodziny. Nasza trójka dostała 2 prycze. Między jedną rodziną było tylko przejście. Najlepsze były prycze w rogu, bo z jednej strony były odizolowane od sąsiadów. Rzeczy trzymało się pod pryczami. W obozie przed nami był sklepikarz, kobieta-piekarka z synem i kucharz, który gotował owsiankę z łyżką oleju na wierzch albo kaszę jaglaną też z łyżką oleju. Kajgorodow był z rodziną, z żoną. Żadnych strażników nie było. Baraki przedtem były puste. Ale tam przysyłano przedtem kołczowników czy może jakies bataliony robocze do wyrębu lasu w lecie. W zimie drewno leśną drogą wywożono. Inną trasą, jedyną możliwą była rzeka. W obozie było może ze 200 osób.

We wsi Zacharkowo też byli zesłańcy - Białorusini i Ukraińcy, ale oni byli tam już od 20-tu lat. Ich puścili w goły pusty teren, oni sami się pobudowali i jako tako zagospodarowali. Trudnili się myśliwstwem, rolnictwem, zbierali siano. W Zacharkowie była szkoła, szpital, apteka i areszt, w którym siedziałam swego czasu, gdy mnie złapano na próbie handlu. Był sklepy, piekarnia, takie podstawowe rzeczy.

W naszym obozie była opieka medyczna - 2 felczerki, które miały tylko krople walerianowe i żołądkowe i nic poza tym.

W obozie zrobiono spisy. Pracującym dawano przydział chleba i zupy. W naszej trójki mnie wypadło więc iść do roboty. Ale miałam dopiero 14-ty rok, był więc problem z pracą dla mnie. Ludzie brali mnie więc do piłowania drewna na opał, do obcinania sęków, do palenia gałęzi. Dostawałam więc chleb i zupę. Biedowałam strasznie, bo nic nie miałyśmy z domu. Z lasu przynosiłam trawę, która nazywała się "kałba" - rodzaj cebuli. Ustrzegła ona nas od szkorbutu, jadło się ją pod rozmaitymi postaciami. W niedziele chodziłam po pokrzywy, jagody, grzyby. Pokrzywy były najbardziej jadalne.

Z 15-go kilometra przewieźli nas później na Ł-kę. Byłam już wtedy tak wyczerpana, że zachorowałam i trafiłam do szpitala. Tam się trochę podkurowałam, ale kiedy wróciłam, to okazało się, że ukradli mi moją jedyną kurtkę. Nasi. Rozpaczałam strasznie. Była taka rodzina leśnika

Maria Ficner-Szostak c.d.

pan Jurek Galicki z żoną Hanią i córeczką Basia, którą ja nieraz się opiekowałam. Oni mi pomogli.

taśma III II, A

Warunki w obozie. Była cała masa chorób. Niemowlęta do 2 lat wymarły wszystkie. Starsi ludzie też zaczęli chorować. Częste były zapalenia opón mózgowych, zapalenia płuc, malaria. Broniono się przed muszkami syberyjskimi w ten sposób, że nacierano się dziegciem. Ale po dłuższym nacieraniu się skóra z człowieka schodziła żywcem. Miejscowa ludność miała specjalne kapelusze z siatkami. Te muszki wciskały się wszędzie. Z naszego baraku zmarło parę osób. Jeden pan został przywalony drzewem. Zmarł Major Domański. Wywieziono go sparaliżowanego - był z żoną Aliną i synem Jerzym. Pogrzeb jego był manifestacją patriotyczną.

Najtragiczniejsza jednak była śmierć dwójki małych dzieci. Były rodziny bez mężczyzn /mężczyóni uciekli w czasie wywózki albo byli aresztowani/. Właśnie była taka matka z dwójką małych dzieci 3-5 lat. Kiedy matka była w pracy, dzieci wyszły same na jej spotkanie. Matka wróciła z pracy, a dzieci nie ma. Wszyscy szukali przez parę dni ale dzieci nie odnaleziono. Dopiero w zimie przy pracy nad lodową drogą w chatce dróżnika /latem niedostępnej, bo była na trzęsawiskach/ znaleziono na pryczy dwa szkieleciki dziecięce. Pod pryczą stały równiutko dwie pary buczków. Dzieci musiały przejść przez trzęsawiska, bo były leciutkie.

Praca w obozie. Wolna była niedziela. W Boże Narodzenie też do pracy nas nie gonili. Nie można powiedzieć, żeby nas tam specjalnie przesładowano, czy się znęcano. Nie było sadyzmu. W sklepiku był nawet alkohol, więc panowie na początku mogli sobie nawet wódkę kupić. Nasz barak czasami śpiewał. Byli państwo Skinderowie, Sawiccy, pani Ryżkina, pan Czerkies, więc nieraz śpiewaliśmy. Przychodził też komendant z akordeonem.

Półacy sami między sobą się kłócili: o sprzątanie, o piec, o każdą rzecz. Były awantury. Ludzie mieli różne poglądy, zapatrywania. Ale w naszym baraku było jeszcze względnie. Życie w barakach nie było zorganizowane. Każdy sobie. Dzieciaki były nieznosne. Babcia moja chciała im coś zorganizować - czytanie książek, czy jakies zabawy. Była więc wydrwina, że to pańskie nawyki i t.p. Też ciocia pani Kbstrowickiej, pani Boguszevska była z zamiłowaniem pedagogiem i próbowała coś dla dzieci zrobić, ale nie było chętnych do nauki. Zorganizowano nam naukę języka rosyjskiego. Do obozu przyjeżdżała nauczycielka. To było potrzebne, gdyż języka nie znaliśmy. Ja mogłam trochę mówić, bo znałam trochę białoruskiego z Bobrów. Ale nie znałam liter, więc ani czytać ani pisać po rosyjsku nie umiałam, uczyłam się więc tego z gazet. Ja więc uczyłam się rosyjskiego, choć niektórzy byli oburzeni. To mi ułatwiło potem życie, ~~przy~~

Maria Ficner-Szostak c.d.

gdyż ostatecznie dwa lata na zesłaniu nie musiałam już pracować fizycznie, pracowałam w biurze.

1. W 41 roku na jesieni zjawił się komendant Żebo i oznajmił, że wskutek porozumienia z rządem radzieckim rządu Sikorskiego otrzymujemy wolność i po terenie obłasti możemy się poruszać swobodnie. Poruszać się swobodnie! po tajdze, gdzie nie ma żadnych dróg. W międzyczasie już się szykowano na nasz stały pobyt w tajdze. Został wyznaczona teren na budowę osady polskiej - nad rzeką Ułu-Juł. Nazwaliśmy tę osadę Warszawą. Budować Warszawę pojechali sami mężczyźni na czele z inżynierem Pukińskim.

Kiedy potem z panią Marylą Kostrowicką spływałam na tratwie rzeką Czującym, to zatrzymałyśmy się na noc u państwa Pukińskich. Było tam już parę domków. Pukińscy mieli już tam domek i chyba nawet krowę; mieli dwoje małych dzieci.

Major Domański leżał cały sparaliżowany. Zmarł na 15-ym kilometrze. Pani Alina Domańska miała mundur oficerski męża, Chowano go w trumnie z surowych desek, z czapką na trumnie. Na 15-ym kilometrze był już polski cmentarzyk - na takim suchym pagórku. Pochowaliśmy Domańskiego ze śpiewem i modłami. Księży wśród zesłańców nie było. W ogóle nie było dużo inteligencji. Przeważali lesnicy, gajowi i osadnicy. Ludzi ze średnim wykształceniem można było na palcach policzyć.

Z tego 15-go kilometra na 9-ty, potem w przewidywaniu powodzi do Zacharkowa, gdzie była komendantura. Zacharkowo było po jednej stronie rzeki, a te baraki na poszczególnych kilometrach - po drugiej. Na wiosnę robiono taki most pontonowy, po którym się przechodziło, późną wiosną. Kiedy mostu nie było, przeprowaaliśmy się łódkami. To chyba w Zacharkowie spotkała nas wolność, zezwolenie na poruszanie się po województwie. Wtedy pani Maryla Kostrowicka doszła do wniosku, że trzeba wykorzystać tę szansę i wydostać się jak najbliżej kolei. Zaproponowała, żebyśmy ruszyła razem z nią. Do tego czasu jedna z moich babć już nie żyła. Druga powiedziała, żebym ją zostawiła i ratowała się sama. Wtedy pani Maryla częściowo piechotą, częściowo statkiem przedostała się do Pyszkina. To było miasto powiatowe z różnymi urzędami. Ona miała wykształcenie wyższe rolnicze, znalazła sobie pracę w laboratorium zbożowym, gdzie oceniano wartość zboża. Zdecydowałyśmy się wyjechać do Pyszkina. Komendant obiecał nam łódź, żeby można było spłynąć rzeką Ułu-Juł. Ale łodzi nie było. Pani Maryla wynajęła więc Polaka pana Markielewicza i on związał nam tratwę i tą tratwą pani Maryla, jej matka Maria Kostrowicka, jej ciocia Kazimiera Boguszevska i ja płynęłyśmy rzeką Czującym. Była jesień, woda była niska, więc płynęło się spokojnie. Na noc schodziłyśmy na brzeg, rozpalaliśmy ognisko, gotowałyśmy jedzenie, spałyśmy - a rano znów na tratwę. Raz po drodze zanoceowałyśmy u państwa Pukińskie

Maria Ficner-Szostak c.d.

~~skierskich~~

Pukińskich, gdzie nas nakarmiono solidnie i gdzie napiłam się mleka od krowy. Dopłynęliśmy do rzeki Czułym. Pani Maryla zapłacała Markielewiczowi i pożegnałyśmy się z nim. Czekałyśmy na statek. Statek wziął nas na pokład, zapłaciliśmy za bilety i dopłynęliśmy do Pyszki.

W Pyszkynie wynajęliśmy od jakiegoś funkcjonariusza chatkę z jedną izbą i sienią. Była ciasna ale było to już swoje locum. Zagospodarowałyśmy się tam i mieszkaliśmy. Zachorowała wtedy pani Boguszevska i zmarła w szpitalu. Nie pamiętam już, kto wykopał dół, ale do tego grobu spuszczałyśmy ją my we dwie z panią Marylą - na sznurach. Pani Maryla pracowała w tym laboratorium, a ja nie miałam pracy. Moim pożywieniem był kisiel kupiony w stołkówce. Do Pyszki przyjechał jakiś zespół i zaproponowałam jednej z aktorek suknię mojej mamy. Za te pieniądze chodziłam na kisiel do stołówki. Pani Maryla też miała problemy w tym laboratorium. Czasami przynosiła próbki zboża stamtąd i z nich można było ugotować trochę kaszy. Ja dorabiałam sobie wróżeniem. Pani Maryla miała karty, a czasy były takie, że kobiety pragnęły wiadomości o swoich bliskich. Więc wróżyłam. Czasami nawet wróżby te się sprawdzały. Dostałam więc czasami miskę kapusty, parę ziemniaków jako zapłatę. W Pyszkynie była jeszcze jedna rodzina polska - ojciec zmarł, ale było trzech braci, matka i dziewczynka w moim wieku. Czasami do niej biegałam, coś pomogłam, więc ona mi cichcem czasami dała rybę albo nakarmiła rybną zupą, bo jej bracia pracowali w spółdzielni rybnej - łowili ryby w Czułymie. Poza tym w Pyszkynie nie było polskich rodzin. Pani Maryla zdecydowała, że trzeba przeprowadzić się do Asino.

Asino było miejscowością większą. Tam dochodziła kolej, był tam obóz dla więźniów odizolowany, były tartaki. Więźniowie zajmowali się wyławianiem spławianego drewna. Był tam wojennyj gorodok, stał pułk piechoty. Na wiosnę przeprowadziłyśmy się do tego Asina. Pani Maryla powiedziała, że dłużej już nie może się mną zajmować. Musiałam radzić sobie sama. Chodziłam po starej części tej miejscowości i z płaczem prosiłam, żeby mi kto wynajął jakiś kąt. Trafiłam do takiej babci Białorusinki, która miała dwóch synów. Babcia Kurzelewa przyjęła mnie. Mieszkała u niej już Rosjanka pochodzenia Łotewskiego od dawna. Wynajęłam kąt za 20 rubli miesięcznie. Ale nie miałam pracy. Miałam pół wiadra kartofli i trochę kaszy za cały dobytek. Jadłam po 2 ziemniaki dziennie i po gastce kaszy i chodziłam szukałam kaszy. Miałam na kawałku gazety wypisany przez komendanta "dowód tożsamości", podrobiłam więc na nim rok urodzenia, żeby mieć więcej lat i znaleźć pracę. Dowiedziałam się, że w Asino jest już sporo Polaków. Rzeczywiście było sporo Polaków i Żydów. Był też tartak, w którym pracowali przedtem Niemcy /radzieccy/. Poszli oni do wojska i w tartaku potrzebni byli ludzie.

Maria Ficner-Szostak c.d.

Kiedy spływałyśmy tą tratwą z obozu, to w przeciwnym kierunku płynęli statkiem uwięzieni żołnierze radzieccy narodowości niemieckiej. Mówili oni między sobą tylko po niemiecku i wiedzieli, że jada do pracy zająć nasze poprzednie miejsca w obozie. To jest prawdopodobne.

Żydzi na Syberii to byli polscy Żydzi z Generalnej Guberni. Uciekali oni przed Niemcami i znaleźli się na kresach, m.in. we Lwowie. Na Białoruś uciekali mniej, najwięcej gdzieś we Lwowskie, Stanisławowskie. Na tych terenach władze zaproponowały im albo powrót do GG albo wyjazd w głąb Rosji. Byli więc na Syberii Żydzi z Katowic, z Włocławka i innych miejscowości. Była to przeważnie inteligencja. Żaden z Żydów nie miał się jakiegóś fizycznej pracy, wszyscy mieli jakiegóś posady. Każdy z nich podawał się za fachowca. Fachowcy też między nimi byli - szewcy, krawcy. Nie odnosiliśmy się do nich zbyt entuzjastycznie, bo myśmy musieli wykonywać na tej zsyłce najcięższe prace. Dlatego specjalnych serdeczności między nami nie było. Był taki Rozprzer /Rospszer?/ ze Stanisławowa; był dorożkarzem, miał 6-ro dzieci, żona Chaja zawołała mnie kiedyś, pokaż mi żydowski rytualny szal, jakąś księgę, którą była zdecydowana dowieść ze sobą za wszelką cenę do domu. On pracował koniuszym w tartaku "Krasnodieriewiec" /podobnie jak ja/. Żydzi byli zorganizowani o tyle, że jak im przyszła jakaś pomoc z Ameryki, to rozprawdzili to pomiędzy sobą i nam nie dali; a jak nam przyszła, to z naszej korzystali. Jak byliśmy już w Asino to mieliśmy męża zaufania - ^{Jerzego} pana Krynickiego. Jego, podobnie jak innych mężów zaufania, po zerwaniu stosunków z rządem Sikorskiego, aresztowano. Skonfiskowano też wszystkie towary, które miały być przeznaczone dla nas na pomoc. /Dopiero na zebraniu Związku Sybiraków we Wrocławiu pani Krynicka dowiedziała się od kogoś, gdzie i jak umarł jej mąż/.

Znalazłam pracę w Asino w tartaku. Pracowałam jako palacz a lokomobilu, dorzucałam drewna, trocin do paleniska.

II str. B

Obsługa parowej maszyny wymagała przeszkolenia. Szkoliłam się więc i dostałam zaświadczenie. Interesowałam się pracą w Tartaku. Pracowali tam prawie sami Polacy. Dyrektor Kremlow był wspaniałym człowiekiem, uczciwym. Jak szedł na front, to wszyscy Polacy poszli go żegnać. Rozumiał Polaków i starał się im pomagać. Zachowam dla niego serdeczną pamięć.

W tartaku. Tartak robił zamówienia dla wojska. Robiliśmy piasty ~~z~~ do kół, narty /gięcie nart z brzozy/ i kule dla kalek. Do produkcji nart potrzebna była para, przy której ja pracowałam. Byłam więc ważną osobą. Kiedyś przyszły jakiegóś ważne zamówienia; przyszedł wtedy dyrektor Mozejkin /były zawchoz, prawie analfabeta; ale to uchodziło, bo nadzór techniczny sprawował Żyd Dawid Zilberlich/ drugi Zilberlich był głównym

Maria Ficner-Szostak c.d.

księgowym, mój były maszynista Drozdow - Białorusin poszedł na miejsce zawchoza, zostałam sama na tej maszynie/. Dyrektor powiedział, że trzeba pracować na okrągło. Miałam dostać do pomocy palacza. Dyrektor powiedział, że jak przyjedzie pułkownik w sprawie tych zamówień, to można z nim porozmawiać o polepszeniu bytu. Zarabiałam wtedy 250 rubli. Można było za to kupić 8-kilowe wiaderko ziemniaków. Przydział chleba wynosił 600 gramów. Od czasu do czasu można było kupić jakieś zapalki. Każdy starał się jakoś podrobić te kartki chlebowe. Byłam już strasznie wydatą. Tylko dzięki tej pomocy amerykańskiej i dzięki tym państwu Krynickim czasem coś dostawałam: koc, spodnie, buty.

/Poprawienie bytu/

Przyszedł pułkownik. Dla mnie ~~nie~~ był uosobieniem elegancji. Powiedziałam, że mogę pracować dodatkowo, ale muszę lepiej się odżywiać, bo nie mam siły do pracy. Obiecał mi przydział żywności z wojska. Rzeczywiście, codziennie żołnierz przynosił mi w papierze 1/4 kila chleba białego, parę kostek cukru, jakiegos śledzia. To już była dla mnie Europa. Nie było koni, więc żołnierze na plecach nosili do tej mojej maszyny drewno. Przychodzili do mnie do maszynowni się ogrzać. Wtedy nauczyłam się palić, do częstowali mnie. Ale poza tym warunki były ciężkie.

Po zerwaniu układu z rządem Sikorskiego aresztowano naszego męża zaufania P.Krynickiego i zarekwirowanie rzeczy przysłanych dla nas. Ludzie mieli pretensje, że pan Krynicki nie rozdał tego wcześniej ludziom. Niektórzy dopytywali się u władz o te rzeczy. Powiedziano, że otrzymamy je, jak będziemy stąd wyjeżdżać. Ale jak wyjeżdżaliśmy potem na południe, to ja dostałam parę bawełnianych radzieckich pończoch, trochę kaszy jaglanej /na pewno nie amerykańskiej/.

Na południe pojechaliśmy na wiosnę 1944 r., chyba w maju. To był zorganizowany wyjazd. Do Asino podstawiono chyba ze 2 wagony. Dojechalismy do Tomska, tam była przerwa. I tam nawet poszłam do teatru, do fryzjera i nawet zrobiłam sobie brwi henna! Tak że to było coś wspaniałego. Z Tomska kierowano nas na południe, gdzie były tereny wyludnione, to były prawie puste kolchozy. Znalazłam się w wagonie, który skierowano do Krasnodarskiego Kraju, na Kubań. W drodze zachorowałam akurat na malarię Malaria była tak straszna, że nic nie pamiętam. Tylko to, że przynoszona woda była z siarką. Nie wiem, kto mnie żywił, kto mnie pił - nic. Zajechalismy za Krasnodar, był napis "Strielka". Nikt nie wiedział, co to jest. Stalismy więc tam długo. Potem wyjaśniono, gdzie jest ta miejscowość i tam ~~ta~~ nas zawieziono. Byłam tam bardzo krótko. Zamieszkałam z polską rodziną o nazwisku Szadziul. Jedną z córek - Gertruda - była moja rówieśnicą. Znałam ją jeszcze z "Krasnodieriewca". Mnie jeszcze trzepała ta malaria. Jakaś Rosjanka przyniosła mi skórkę węża jako amu-

Maria Ficner-Szostak c.d.

let przeciwko malarii. Należało ją nosić na szyi tak długo, aż się "naszyjnik" sam przetrze i zgubi. Tak też zrobiłam i malaria przeszła. W Striełce pracowałyśmy przy pieleniu kukurydzy. Było tam też parę rodzin żydowskich. A w polu pracowało się ciężko, było bardzo upalnie. Żydzi do tej pracy nie nadawali się. Było takie miłe małżeństwo z Włocławka - państwo Łepkowie /czy Lepkowie/, młode, bezdzietne. Doszli oni do wniosku, że należy jechać do powiatu /pow. Tiemruk/ i poszukać czegoś innego.

Na Kubani pracowano wołami. P₁ła były podminowane przez Niemców. Rosjanie nie zdążyli tego rozminować. Często też te woły wylatywały w powietrze i było mięso do stołówki. Ludzie też trafiali na miny. Przed nami była perspektywa zimy. Opału żadnego nie było. Paliło się suchym łąjnem lub burzanem. Bałam się tej zimy. Z Lepkami, którzy podali mnie jako swoją siostrzenicę, pojechalismy do stancji Nowo-Pokrowskaja. Babcia Jelisiejewa wynajęła nam pokój. Mieszkalismy jakiś czas razem. Lepkowie poszli do pracy. Pani Hanka Lepkowa pracowała gdzieś w zaopatrzeniu w handlu. A ja robiłam trochę na drutach, w domu się krzątałam, ale to było niewystarczające na dłuższą metę. Znalazłam pracę w biurze "Zagotskot". Tam syn księgowej, pani Niechajewoj /bardzo kulturalnej osoby, ~~xxx~~ żony aptekarza/ poszedł na front i mnie przyjął jako statystyka /ucziotczika/. Przyjęła mnie na mieszkanie sprzątaczką z tego biura. Była bez męża /mąż na froncie/, miała pół domku, działkę, krowę. Ona pochodziła z zamożnej rodziny kozackiej, wspominała dawne czasy, obyczaje kubańskie. Największą estymą darzono łożko. Leży na nim piernat, zasłane jest białą kapą, leży góra poduszek w koronkach. Na tym się nie śpi. Spi się na piecu czy na podłodze. Łóżko świadczy o dobrobycie rodziny i jest nietykalne. Moja gospodyni była bardzo dobra. Przyjęła mnie jak członka rodziny, ale gonila do roboty że hej. Dziwiła się, że ja nie umiem porządnie robić prac domowych. Wytłumaczyłam jej, że nigdy nie musiałam tego w domu robić, bo mieliśmy służącą. W domach tam były jeszcze klepiska, które w sobotę smarowało się mieszanką z krowiego łąjna zmieszanego z piaskiem. Ale u mojej gospodyni była podłoga.

Muszę powiedzieć o krzywdzie, która mnie spotkała jeszcze w Asinie. Babcia, u której mieszkałam oddała mi miedzę zarośniętą darnią, żebym sobie skopała i posadziła ziemniaki dla siebie. Pracowałam zawzięcie każdego popołudnia. Doprowadziłam ten skrawek do porządku. Ale do Asina przyjechali ewakuowani z Leningradu, którzy przeżyli blokadę. Z Leningradu była przeważnie inteligencja. W naszym tartaku pracowała pewna malarka, pani Goworowa. Namalowała nawet mi akwarelkę - mój portret, bo stwierdziła, że jestem typową reprezentantką urody słowiańskiej. Ale byli też dygnitarze. Obok nas zamieszkała rodzina, której ojciec pracował w wojenkomacie. Spostrzegł on ten mój kawałek ziemi i zabrał

Maria Ficner-Szostak c.d.

mi go. Poszłam do niego z prośbą o zwrot. Powiedziałam, że jeśli nie zwróci mi tej ziemi, to niech jako człowiek honorowy zapłaci mi przynajmniej za skopanie. Odpowiedział na to niewybrednymi pogroźkami.

Wtedy też obdarzono nas obywatelstwem radzieckim. Po zerwaniu stosunków z rządem Sikorskiego zaczęto nam dawać paszporty radzieckie. Niewzięcie tego paszportu było równoznaczne z podpisaniem wyroku na siebie, pójdziem do więzienia. NKWD informowało, co czeka, jeśli się odmówi przyjęcia obywatelstwa radzieckiego. Nie chciałam iść do więzienia, więc stałam się obywatelką radziecką. Wśród mieszkańców Asino chyba ze 4 rodziny nie przyjęły paszportów. Byli to ludzie bez dzieci. Poszli do więzienia. Byli podobno w strasznych warunkach. Kobiety siedziały z kryminalistkami, zbrodniarkami. Kiedy wracaliśmy do Polski, to na granicy zabierano nam te paszporty, a oni wracali jako bezpaszportowcy. Nie warto było więc się narażać.

Do Polski wracałam w końcu lutego 1946 r. Przed wyjazdem z Nowo-Pokrowskaja gospodarze bardzo mnie namawiali, żebym nie jechała do Polski. Pán już wrócił z frontu i pracował na kolei. Kazał mi więc siedzieć w domu do ostatniej chwili. Zżyłam się z nimi bardzo. Poszłam do studni artezyjskiej po wodę. Przyjechał naczelni NKWD i nakrzyczał, że nie idę do wagonu o dezorganizuję im pracę. Poszłam więc do wagonu i tam chyba jeszcze ze dwa dni siedziałam, zanim ruszyliśmy. Gospodyni wyekwipowała mnie na drogę: napiekła chleba, upiekła kurę - głodu tam to już nie miałam.

Ze stacji Nowo-Pokrowskaja wracał nas cały wagon albo i więcej z tej stacji Jeja. Nazwa taka jak nazwa rzeki. W tej stacji powitałam koniec wojny. Była tam też cerkiew, którą wtedy otworzyli /tzn. w czasie mego tam pobytu/; odnalazły się zaraz naczynia liturgiczne i batuszka. Gospodyni wysłała mnie święcić jajka na Wielkanoc. Potem ludzie rzucili się do mnie z pozdrowieniem "Christos woskries", a ja nie wiedziałam, co robić i potłukłam te jajka.

Wracaliśmy przez Lwów. We Lwowie nas wysadzili. Poszłam wtedy z kimś na targ i kupiłam bochenek chleba. Siedziałam i kroiłam go i jadłam, mimo, że głodu nie czułam. Ta potrzeba chleba pozostała mi do dzisiaj: zawsze musi być chleb w domu i zawsze kroję go grubymi kromkami. Jechaliśmy Lwów-Przemyśl-Medyka. W Nedyce nam zabrali paszporty, dali dokumenty, ~~kaza~~ wymienili pieniądze. Żydzi mieli kupę złota. Ja jednej rodzinie przewoziłam pierścionek i obrączkę, bo ja nie miałam nic; po przekroczeniu granicy to wszystko jej oddałam. Wracali z nami wszyscy Żydzi, którzy byli z nami w Nowo-Pokrowskiej: Zilberlichtowie, Inwaldowie Szenwaldowie /?/, Jezewscy, jedna samotka Żydówka, której córka wyszła zamaż i została. Chyba za jej sprawą zginęły mi jedyne rzeczy, które miałam: jedną zmianę bielizny osobistej, mydło i ręcznik. Wróciłam więc

Maria Ficner-Szostak c.d.

jak zupełny nędzarz. Kiedy odnalazłam swoich krewnych w Warszawie i zjawiłam się przed nimi w ponemieckich wojskowych butach, w tych sławetnych radzieckich pończochach bawełnianych, w ~~samodziałowej~~ kurtce w spódnicy z amerykańskiego battle-dressu przerobionych, moi krewni rozplakali się na mój widok.

W Palmową niedzielę przyjechalismy do Katowic. W Katowicach nas zatrzymano, było to w dzień. Miejscowi przychodzili na nas patrzeć jak do cyrku. Kobiety były ubrane modnie i elegancko, a my byliśmy jak zwierzęta w ogrodzie zoologicznym. Przeżywałam to strasznie. Dojechalismy do Opolą. W Opolu wyladowano nas do baraków na którejs ze stacji towarowych. Dostawalismy tam chleb. zupę. Czekaliśmy na nawiązanie kontaktów, na wiadomości od rodzin. Niektórzy poszukiwali gospodarstw. Z nami byli też ci, którzy wracali od bauerów z Niemiec, z robót. My w porównaniu z nimi byliśmy Murzynami. Chodziłam w soboty myć podłogę do takiej dziewczyny, która wracała z Niemiec z robót. Miała całe walizy dobytku i czuła się panią.

III A

Z PURu nie miałam żadnej pomocy, bo byłam samotna, a oni pomagali rodzinom. Pisałam więc do wszystkich krewnych i znajomych, których adresy znałam: do Warszawy, na Pomorze i do kuzynki mamy, którą matka przed śmiercią prosiła o opiekę nade mną. To była ciocia Wojtkiewiczowa, która miała duży majątek w Grójeckim. W czasie wojny przechowywała uciekinierów z Warszawy, wysyłała paczki do obozów jenieckich. No ale później jej wszystko zabrano. Napisałam do tej cioci. Po kilku dniach dostaję wezwanie do PURu: okazuje się, że tam szef był znajomym znajomych mojej cioci i... natychmiast się wszystko zmieniło. Zaproponował mi pomoc, ale wtedy to ja mu bardzo serdecznie podziękowałam. Poprosiłam tylko o bilet na przejazd do cioci. Wyjeżdżając zostawiłam jeszcze swoją sławetną kurtkę samodziałową koleżance, która jechała w Rzeszowskie i też nic nie miała. Wydawało mi się, że wracam do przedwojennej Polski i rodzina zobaczywszy sybiraczkę obkupi ją, wszystko jej sprawi i pomoże. Okazało się, że wojna wszystkich tak dotknęła... Myśmy na Syberii nie zdawali sobie sprawy z tego, co się tutaj dzieje. Jak wybuchła wojna sowiecko-niemiecka, to myśmy prosili Boga, żeby przyszli Niemcy i nas od Sowietów wyzwolili.

Po powrocie byłam jakiś czas u cioci, skorzystałam nawet jeden raz z tej swojej radzieckiej legitymacji: ciocia próbowała odzyskać część rzeczy ze swojego majątku. To nie było łatwe. Wtedy ja się pojawiłam ze swoją radziecką legitymacją i podziękowało - trochę rzeczy pozwolono cioci ocalić.

Uczyć się mi już nie chciało. Stryj zdecydował więc, żebym poszła

Maria Ficner-Szostak c.d.

do roboty, usamodzielniała się, a uczyć się mogłam wieczorowo. Stryj Józef Szostak, który też wrócił z obozu, był na Dolnym Śląsku dyrektorem. Przyjechałam więc z nim na Śląsk. /niemieckiego, z Foldenbergu/ Pracowałam w kopalni jako kasjerka, robiłam listy płac. Po trosze się zaczęłam uczyć w Srodzie Śląskiej. Ale nie dobrnęłam długo, matury nie zdałam. I wyszłam za męża. Przyszły na świat dzieci. Kiedyś mąż zachęcił mnie do nauki w Studium Ekonomiki Przemysłu w Strzelinie. Zapisalam się na to studium i ukończyłam je. Pamiętam z tych czasów profesora Kaletę z Wrocławia. Wędrowaliśmy z mężem z jednej kopalni do drugiej, aż dotarliśmy do Boguszu. Córka miała już iść do średniej szkoły, trzeba się było zatrzymać gdzieś, gdzie była szkoła. W 1976 r. mąż zmarł na zawał serca. Wtedy młodsza córka zdała na politechnikę. Zostałam sama, samotna. To były czasy gierkowskie, wszystko było na hura. Nie powiem, zeby od kogoś jakiejś pomocy doznała czy przychylności. Bardzo mi było ciężko, ale musiałam okrzepnąć i nie dać się.

Zdrowie? Może poprzez pobyt na Syberii zahartowałam się. Bo przedtem miałam wiecznie katar, a potem przeszedł. Miałam później dolegliwości wątrobowe - to był skutek malarii. A w ogóle zesłanie nauczyciela mnie szacunku do ludzi uczciwych i wiele tolerancji. Nie można odrazu wszystkiego potępiać i źle oceniać. Należy przeanalizować powody, dla których ktoś jest taki czy inny, lepszy czy gorszy. Chyba w rezultacie tych przejść jestem leosza. Trzeba być dobrym człowiekiem, a nie odrazu ludzi karcić, potępiać. Nie jestem zawistna. Nikomu nie zazdroścę majątku - to jest rzecz nabyta, dzisiaj jest, jutro nie ma. Nie znoszę chamstwa, ordynarności i brrrrrudu. To mnie strasznie denerwuje, bo wszyscy mamy jednakowe ręce, wszyscy możemy robić.

Ludzie różnych narodowości, których spotykałam. Najwyżej oceniłabym zwykłych przesiedleńców Rosjan. Oni nam pomagali jak mogli. To znaczy za darmo nam nic nie dawali. Ale udzielali nam rad, mówili jak przetrwać, jak przeżyć. W ogóle mieli jakiś taki serdeczny stosunek do nas. Między nami Polakami różnie bywało. Byli tacy, co donosili, byli tacy, co kradli, co zazdrościli. Nie mogę wyrazić o nich najlepszej opinii. Żydzi: wszędzie widzieli interes. A może myśmy ich tak źle oceniali, bo oni zajmowali lepsze miejsca pracy. Byli po prostu zaradniejsi - umieli wszędzie zahandlować, coś kupić.

Władze też były różne. Tę byli ludzie, różnie. Nikt z Rosjan mnie nie uderzył. K Skrzywdził ten Rosjanin z wojenkomatu, który mi zabrał w Asino kawałek skopanej przeze mnie ziemi. To było świństwo niesamowite. Nie mam pretensji do władzy, do ludzi, ale do ustroju. Bo przecież to samo na kresach było, kiedy przyszli Rosjanie. Kiedy powiedzieli chłopom: bierzcie, bo to pańskie - to chłopci szli. Wystarczy rzucić hasło.

Maria Ficner-Szostak c.d.

Z rodziny ojca stryj pułkownik był przeniesiony do Nowej Wilejki. Miał dwóch synów - Adama i Macieja /21 rocznik i 23/. Stryj poszedł na front. Kiedy transport przejeżdżał przed Skrzybowce, to wysłał ordynansa z biletem wizytowym do ojca i napisał: "Stachu, jedziemy bić Hitlera, ... całuję. Dudek /Józef/". W Nowej Wilejce została stryjenka Helena z dwoma chłopcami. Chłopcy byli po maturze i po gimnazjum. Chłopcy na lato przyjeżdżali do nas, bo uwielbiali mojego ojca. Dobrze się u nas czuli, z matką dyskutowali o literaturze. Kiedy mnie wywieźli w 40-ym roku, oni zdecydowali się przenieść do Bobrów i tam zamieszkali. Podobno jakiś komitet chłopski przydzielił im krowę, ten młodszy tę krowę doił. Mieszkali w domu stryja, bo nasz dom zaraz został rozebrany i przeniesiony do jakiejś wsi dla potrzeb szkoły. Starszy z braci pracował w Lidzie w księgarni. Tam się zaprzyjaźnił z jakimś rowieśnikiem z Lidy. Ten dość często przyjeżdżał do Bobrów. Nysz były parobek reflektował na cały nasz dobytek. Namówił więc ze wsi Leśniki jakąś zgraję, żeby tych dwóch braci - moich kuzynów zamordować. Bał się, że mogą oni dochodzić dobytku Szostaków. Pewnego dnia - w sobotni wieczór zjawiała się przed dom banda i zabrała dwóch chłopców. Tylko że to nie byli Maciej i Adam; zabrali Macieja i tego kolegę z Lidy, bo Adama nie było w tym czasie w domu. Wyprowadzili tych chłopców do lasu na trzęsawiska i bestialsko zamordowali. Maciej ponoć zginął śmiercią męczeńską. Adam po powrocie z Lidy nie zastał brata i kolegi i zgłosił zaginięcie na posterunek niemiecki. Niemcy zaczęli przeprowadzać dochodzenie. Poszukiwała też syna ta matka z Lidy, uzyskała pewne informacje: widziano, jak tych chłopców prowadzili. Odnaleziono w lesie ciała zamordowanych. Adam pochował brata obok dziadka w Niecieczy, a sam wyjechał do Warszawy. W Warszawie poszedł na spacer koło Cytadeli, tam niegrzecznie odezwał się do jakiegoś Niemca. Zabrali go do Oświęcimia. Z Oświęcimia nie wrócił.

A w Lidzie Niemcy wzięli się za tego parobka. Kiedy go prowadzili na dochodzenie do Białoehrudu na moście przez Dzitwe on wyrwał się Niemcom, wskoczył do rzeki i utonął. Została po nim wdowa z trojgiem dzieci. Kobieta ta wpadła w szal, podpaliła domek, który jej wybudował kiedyś mój ojciec. Dowiedziałam się później, że kobieta ta umierała w strasznych mękach na raka i przepraszała Boga i naszą rodzinę prosiła o przebaczenie za ten mord. We wsi Leśniki Niemcy przeprowadzili pacyfikację: z jednej strony ustawili karabiny maszynowe, a z drugiej podpalili wieś.

Los ojca. Ojciec został aresztowany 24 września 1939 roku, zabrany sprzed domu. Nie wrócił. Nic o ojcu nie wiedziałam. Pierwsza wiadomość była gdzieś w r. 1943-44. Pani Maryla Kostrowicka wcześniej wydo stała się z Syberii do Persjii, widocznie zgłosiła ~~mi~~ nazwiska znanych

sobie osób. A ojciec mój też wyszedł z Armią Andersa. Dostałam w Asino telegram po angielsku w niegramatycznym przekładzie rosyjskim, z którego nic nie mogłam zrozumieć. Tam było pytanie o ojca Stanisława Szostaka. A wszystko było odwrotnie. To ojciec depeszował, żeby uzyskać informacje o mnie. Nic nie wynikało z tego telegramu - czy ojciec żyje czy nie. W czasie powrotu gdzieś chyba we Lwowie, ktoś z jakiegoś transportu powiedział mi, że mój tatuś żyje i jest w Polsce. Była to jednak krótkotrwała radość, gdyż informacja się nie potwierdziła. Po skontaktowaniu się z rodziną ze strony ojca i ze strony matki otrzymałam wiadomość, że ojciec jest w Anglii. Ale stan jego zdrowia był taki, że stale przebywał w szpitalu, gdzieś w Szkocji. Kiedy stryj Zygmunt powrócił do Polski /aresztowany we Lwowie wyszedł z armią Andersa/, dowiedziałam się więcej o ojcu. Stryj spotkał ojca mojego w jednym z pomieszczeń barakowych czy koszarowych w organizującej się armii Andersa. Siedzieli naprzeciwko siebie przez kilka dni i nie poznali się - tak byli zmienieni obaj. Dopiero kiedy jeden z nich w rozmowie użył jakiegoś zwrotu częstego w domu rodzinnym wtedy się rozpoznali.!!!

Nawiązałam korespondencję z ojcem; on sam już nie pisał, odpisywały za niego pielęgniarki, bo ojciec był sparaliżowany. W 1949 roku ojciec zmarł. Napisano mi ze Szkocji, że część gaży ojca idzie na szpital, a część dostaje do rąk. Ojciec przysyłał papierosy, które sprzedawałam tutaj; kupon materiału, sukienkę, które też sprzedawałam, żeby się jakoś zagospodarować. Ale kiedy pytałam o szczegóły dotyczące jego przejść, to odpowiedzi nie otrzymałam. Stan zdrowia ojca wynikał z pobytu w Związku Radzieckim. Jedna ze znajomych mówiła, że do Andersa niektórzy zgłosili się dosłownie na czworakach /z wycieńczenia/, tak przeszli do Iranu.

Życie na kresach przed wojną.

Życie było spokojne. W lecie się pracowało na roli, a zimą było życie towarzyskie, polowanie. Ojciec mój był zapalonym myśliwym. Przyjeżdżaliśmy się z właścicielami majątku Hołdów - Wołłejkami, Radzawóniszek - Kuncewiczami. W tym kręgu byliśmy. Najczęściej w Hołdowie, bo tam było najwięcej miejsca, najlepsza kuchnia i najzamożniejsi gospodarze. U nas goście bywali raczej tylko na imieninach ojca. Ojciec najczęściej był królem polowania. Kiedyś po upolowaniu lisa złożył to trofeum u stóp pani domu w Hołdowie, bo taki był zwyczaj.

Na przyjęciach było bardzo dobre jedzenie. Wódeczka była, nalewki własnej roboty - Wileńszczyzna z tego słynęła. W goście przyjeżdżało się całym domem. Panowie spotykali się rano i szli na polowanie. Wracali przebierali się i zasiadali do kart. Panie ~~xxdxxx~~ opowiadały sobie różne wydarzenia lub przeczytaną lekturę, a dzieci bawiły się osobno. Z Inką Wołłejkówną szliśmy zawsze na lustrację do chlewni, oglądać

świnki.

Maria Bicner-Szostak c.d.

Wołłejkowie byli z kresów. Nieraz sobie docinali kresowiacy i mój ojciec. Nieraz z panem Antonim ~~przyznawali~~ Wołłejką przycinali. Przy spotkaniach nie śpiewano. Grano w karty. Dzieci się bawiły zabawkami. Interesowały się zwierzakami.

Inka Wołłejkówna dostała nauczycielkę do domu - panienkę z Wilna. Ona miała poglądy komunistyczne. Więc ta panienka zaczęła sprowadzać dzieci z czworaków i w parku organizować zabawy, np. w kółku:

Dziewczyno, dziewczyno

Oczy masz sokole.

Zgadnij, kogo nie ma w kole.

Czytała ona nam książeczki. Tak było w lecie.

Ja miałam do czytania chyba "Płomyczek". W ogóle czytałam dużo. Cio-cia Woytkiewiczowa stale przysyłała mi książki młodzieżowe: Anię z Zielonego Wzgórza, Ania Polska, Młody wygnaniec. Tak zaczynała się moja edukacja - z przeczytanych książek.

Kontakty z ludnością miejscową. Początkowo ludność ta podchodziła do nas nieufnie, jak do intruzów. Ale potem, kiedy przekonali się, że mogą od osadników otrzymać pomoc, to się zmienili. Mój ojciec był zawsze proszony na wesela do Bobrów jako swat. Matka była kilkakrotnie proszona na matkę chrzestną do cerkwi. Nie przeszkadzało to, że rodzice byli katolikami, a uroczystości były w cerkwi. Były to piękne wydarzenia. W Bobrach w cerkwi pięknie śpiewali. Nasz ojciec pięknie tańczył, więc wywijał zawsze na weselach z druchnami. Na weselu był zwyczaj, że swat wielokrotnie wykupywał parę młodą, dawał na tacę. Panna młoda obdarowywała potem swata i drużbów kawałkami pięknego płótna. Mój ojciec był wysokiego wzrostu, a trzeba było swata przewiązać przez ramię, potem w pasie, zawiązać supeł i aż do ziemi spuścić to płótno. Narażało to młodą na duży wydatek. Ale płótno dla przyszłej panny młodej matka zbierała jak tylko dziewczynka ~~sięxurodziłax~~ zaczynała prąść len. Len tam uprawiali i tkali płótno, kapy, ręczniki ze ślicznymi wzorami, Swata przewiązywano też takim wełnianym pasem -krajką z frędzlami, z pomponem, w piękne wzory. Swat miał trochę wydatków pieniężnych, a swatka musiała przynieść ciasto na wesele i jakieś prezenty. Moich rodziców proszono bardzo chętnie, bo nie byli skąpi.

Z ludźmi ze wsi kontaktowałam się tylko wtedy, kiedy przychodzili do nas, żeby coś załatwić. Matka pisała im podania.

Nazwiska ludności miejscowej: Krypeń, Pucko, Lepioszko. Imiona: Zina, Wala, Praskowia. Parobek miał na imię Wasilij. We wsi nie było w ogóle ludności katolickiej. Osadnicy należeli do parafii Niecieczy.

Nauczyciel mieszkał we wsi. Jego żona ładnie szyła, więc uczyła kobiety ze wsi szycia. Ze strony rządu nie było chyba żadnych starań

o podniesienie kultury na wsi, o polskość. Liczono może na osadników. Zresztą mój ojciec wymagał, żeby chłopci przychodzący do nas mówili po polsku. We wsi nie było biblioteki. Moja matka sprowadzała sobie książki z biblioteki wysyłkowej. Prenumerowano u nas w domu "Kurier Warszawski", jakiś "Rolniczy plon", mój "Płomyczek". Tygodniki przysyłała nam babcia z Warszawy: AS, Światowid. Ciotka Wołtkiewiczowa przysyłała mamie pisma francuskie, żeby nie zapomniała języka francuskiego. Czasami babcia z mamą rozmawiały po francusku, żebym ja czegoś nie zrozumiała.

Nauczyciel w Bobrach był z Poznańskiego. Przeniósł się na kresy prawdopodobnie w poszukiwaniu pracy. Szkoła była 4-oddziałowa. Nauczyciel nie przejawiał jakiegokolwiek specjalnej inicjatywy w środowisku wiejskim. Ojciec mój kiedy pracował w gminie Raduń, to tam było bardzo dużo Litwinów. Podobno stosunki narodowościowe były tam okropne i ojciec spał zawsze z rewolwerem pod poduszką. Stamtąd się przeniósł na wójtostwo w Srzybowcach. Ojciec mój był społecznikiem i umiał pracować z ludźmi. Budował szkołę gdzieś na wsi z kasy gminnej, budował drogi. Do Bobrów sprowadził buhaja czerwonopolskiego rozplodowego /stał on w Hołdowie/. Stryj przysłał z Grójeckiego owce karakuły. Mieliśmy już przed wojną tych skórek dość sporo. Przysłał też worek pszenicy czy jęczmienia borzymowickiego /od nazwy jego majątku/ na siew.

Ojciec mówił, że na kresach ludzie nie uprawiali pszenicy i ojciec popularyzował tę uprawę. Ludzie nie jedli też pomidorów. Matka zachęcała kobiety do uprawy pomidorów.

Ludzie żyli z ziemi, której mieli mało i z zarobków w sezonie. Do ojca robotnicy chętnie przychodzili, bo ojciec rzetelnie płacił; bo w niektórych majątkach różnie bywało. Mieliśmy już sad, który zasiał mój ojciec - około 100 drzew owocowych /teraz po tym sadzie nie ma nawet śladu/. Były dwie studnie z kręgami betonowymi /teraz wszystko wydarte, tylko leje w ziemi pozostały/.

Koło Bobrów był taki teren nazywany Horodok. Teraz tam odkryto wspaniałe torfowisko i biorą stamtąd torf. Przy kpaniu studni dla stryja wykopano ludzkie czaszki. Pogrzebano je z szacunkiem, ale studni się nie przenosiło. Stryj planował podłączyć hydrofon do domu. Musiały tam być kiedyś osady, nazwa Kurhan na to wskazuje. Na trasie do Łidy były rozstaje dróg. Mówiono, że kiedyś tam bandyci napadali. Tam był bór świerkowy. Należało się na tym skrzyżowaniu przeżegnać.

Mieliśmy na podwórzu studnię z żurawiem. We wsi były studnie i kręcone i z żurawiem. Chłopi orali pługami, mieli brony. Młóczarnia była tylko u nas i jeszcze jednych gospodarzy. Większość młóciła cepami. Zresztą słoma była potrzebna na krycie zabudowań. Był specjalista od dachów słomianych - Hryć. We wsi był b.dobry kowal - Pucko, była smo-

Maria Ficner-Szostak c.d.

Bobry przed wojną.

była we wsi smolarnia, właścicielem był jakiś Żyd, a smolarz nazywał się Wilk /mówiono na niego też: Wołk/, miał kilku synów, wszyscy bandyci - bili się, różnili. To był chyba jakiś wędrowny lud, chyba wszyscy smolarze wędrowali. Kiedyś w Radziwoniszkach widziałam jednego z Wołków zabitego - widok okropny! to był najmłodszy z synów Wilka.

W Bobrach był bardzo ciekawy malarz ludowy, wuj tego kowala, Pucko. Był miłośnikiem kwiatów, stary kawaler. Po polsku nie umiał, ale mówił literackim językiem rosyjskim. Przychodził do mojej matki w sprawach kwiatów, często też braliśmy od niego kwiaty z ogródka do dekoracji domu, gdy spodziewaliśmy się gości.

Puckom zdechł kiedyś koń. Ojciec mój posłał parobka z koniem, żeby pomóc im zasiać. Nie brał za to zapłaty, potraktował to jako samopomoc sąsiedzka. Wtedy Pucko przyniósł swoje 4 obrazy. Mama była w kropce - powiesić obrazów nie chciała i nie chciała też obrazić malarza. Dyżurowaliśmy więc, kiedy do nas szedł Pucko, wyciągało się obrazy z ukrycia i wieszano na honorowym miejscu. Potem chowaliśmy je za taką lodówkę /na lód/.

We wsi nikt nie używał łuczywa. Ludzie mieli lampy naftowe. Zabudowania na wsi były takie czasami, że z jednej strony była izba mieszkalna a z drugiej strony sieni była obora. Ale kiedy była komasacja /mój ojciec brał udział w pomiarach/, to ludzie zamożniejsi przenieśli się na kolonie, wieś się przerzedziła. Ale w sumie nie było takiej nędzy, chatki były zadbane, wybielone w środku. Scian nie tynkowano, stawiane domy były na mech i w środku spoiwa były zasmarowane gliną. Myśmy mieli dom tynkowany w środku, na zewnątrz nie zdążył ojciec otynkować. Dom był drewniany, bardzo wygodny: 4 pokoje, przedpokój, kuchnia i 2 komóreczki, z których można byłoby zrobić dzisiaj łazienki.

Ubiór

Ny co dzień ludność ze wsi nosiła - kobiety - samodziałowe spódnice w paseczki granatowo-popielate - szare. Tkane po bawełnianej osnowie lnem. W każdym domu były krosna. Później tkali też sukno, ale p.w. len. Starsze kobiety nosiły białe lniane koszule z okrągłym wycięciem koło szyi, przymarszczane, zawiązywane. Zamożniejsze nosiły bluzeczki perkalowe w kwiatki - z bufiastym rękawem, albo wąskim długim /starsze kobiety/. Wtedy zakładało się czarne spódnice /też lniane/. W lecie do pracy na nogach nosili drewniaki, a do cerkwi każdy miał pantofelki albo sznurowane trzewiki. Gospodarze mieli buty z cholewkami. Na głowach maciejówki lub oprychówki. Rzemieślnicy nosili słomiane kapelusze. Kobiety wszystkie nosiły kolorowe perklowe chustki /Żyd wozik, sprzedawał je za jajka; chustka kosztowała 40 groszy/. Marzyłam też o takiej chustce, i miałam taką chustkę.

Maria Ficner-Szostak c.d.

Żnieje nie ubierały się di żniw specjalnie uroczyscie. W deszczowe dni kobiety nosiły chusty kraciaste, którymi się okrywały; kobiety biedniejsze miały dzierużki. Zimą nosili wełniane skarpety. Kobiety tkały ślicznie, przędły ślicznie na kołowrotkach /starsze babcie przędły też na wrzcionach, twierdziły, że wełnę najlepiej się przędzie na wrzcionie/, nie haftowały, z drutami różnie bywało - robiły przede wszystkim na szydełku. Ja byłam wszystkiego bardzo ciekawa. Wieczorami dziewczyny chodziły na wieczorynki - na przędzenie - do jednego domu. Spiewały różnie - i po polsku i po białorusku. Nasza służąca Zina to śpiewała np. "A nasza rebeka z utęsknieniem czeka". Pierwsze radio na wsi było u nas. Ojciec całą zimę pracował przy wywózce drzewa z lasu i zarobił na radio. Potem z czasem kupił głośnik. Jak była transmisja Mszy św to mausia zaprosiła kobiety z Bobrów. Babcia Bancewiczowa usiadła przed domem na ławce, a jak usłyszała głos, to się przeżegnała i uciekła. Radio miał nauczyciel i potem sklepikarzowa - pani Czyżykowa /mówiono że ona jest Żydówką/. We wsi był stały sklepik. Ona jeździła co tydzień do Lidy po zakupy i można było u niej zamówić, co się chciało. My przez pewien czas zamawialiśmy u niej chleb pytłowy, bo nie opłacało się piec. W sklepiku były śledzie, cukierki po groszu, nawet wódka, mimo iż ona nie miała koncesji. Były sól, cukier, świece, nafta. Pieniądze ludzie mieli ze sprzedaży produktów rolnych. Ze sprzedażą było ciężko. Kiedyś moja matka cały dzień stała na targu w Lidzie z kaczkami, które w końcu sprzedawała do koszar. Do mleczarni do Niecieczy było 5 km. Tam była spółdzielnia "Rolnik" i tam była mleczarnia. Ojcu samemu wozić mleko nie opłacało się. Ci ze wsi nie mieli tyle mleka, żeby wozić, ci osadnicy też. Myśmy robili masło, które brały sąsiednie majątki, bo stamtąd odstawiali mleko do mleczarni i nie robili masła. Masłem też płaciliśmy nauczycielowi za moje lekcje. Nauczyciel miał córkę Czesię, ale ona jeszcze do szkoły nie chodziła. Ten pan Staszewski wyjechał do Gniezna. Po wojnie nawet korespondowaliśmy ze sobą. Po nim przyszła młoda nauczycielka, nie wiem, co się z nią potem stało.

Do gimnazjum chodził syn sąsiadów osadników Wiktoruków. Uczył się na początku wojny. W Lidzkim dużo ludzi znało język rosyjski, np. dr Kostrowicki pracował jeszcze za czasów carskich. W czasie wojny zaraz poprzyjeżdżały żony tych wojskowych. Jak Rosjanie wkroczyli to za nimi przybyła sfera żołnierek, bab, które w Lidzie wykupiły wszystkie bere-ty jakie były i wszystkie kalosze do walonek. Były to kobiety z jakichś służb pomocniczych, do Lidy ciągnęły jak do rajy, nie wiedziały, jak się obkupić. Wykupiły wszystkie koszule nocne na suknie balowe.

Izby na wsi były ubogie. Niektórzy mieli szafy, bo w Bobrach był dobry stolarz - Lepioszko. On zajmował się też pszczelarstwem, kupowaliśmy od niego miód. Łóżka były w każdym domu i to z elementami toczo-

nymi, bo stolarz miał tokarkę. Był taborety, ławki. Krzesek nie było. Stoły były albo na czterech nogach, albo na krzyżaku. Rodziny nie były bardzo wielodzietne, 2-3 dzieci.

Bobry były wsią dość kulturalną. Szanowano bardzo ludzi starych, którzy kierowali, doradzali. To tam jest do tej pory.

Żyd kramarz przywoził kubeczki, garnuszki, paciorki. Jeździł też Żyd-szklarz - z całą rodziną na wozie, z żoną Ryfką i z dzieckiem. Jadł na kolacje ziemniaki ze słoniną, nie zważał na to, że to nie koszerne. Żydzi też przychodzili skupywali bydło. Matka moja znała francuski i niemiecki, więc czasem Żydzi byli skonsternowani, kiedy dowiedzieli się, że matka wie, o czym oni szwargoczą. Zakupioną sztukę parobek odprowadzał na umówione miejsce i dostawał za to złotówkę.

Cyganie pojawiali się rzadko, bo ojciec mój szczuł psami, nie lubił żasných włóczęgów. Pojawiali się bezrobotni. Ojciec wtedy proponował coś do zrobienia. Jeden więc bezrobotny nie tylko, że nic nie zrobił ale uciekł z łopata, którą miał kopać rowa. Chodzili żebracy. To była plaga, bo matka jednymi drzwiami ich przyjmowała, a ojciec drugimi pędził. Matka ich zawsze nakarmiła. Pieniądzy nie dawała, ale zawsze coś w naturze. Czasami chodzili też pogorzelnicy, nawet jeździli wozami. Pogorzelników ojciec wspomagał, czasami nawet pieniędzmi albo dawał zboże. Kiedyś byłam wściekła, bo matka oddała jakiejś żebraczce moje rzeczy. Matka wtedy powiedziała, że lepiej sto razy dać, niż raz prosić.

U nas ksiądz był bardzo postępowy, chodził z ojcem na polowanie.

Mieliśmy meble przywiezione przez dziadkó z Pomorza. Mieliśmy w domu pianino. Ojciec grał. Ojca rodzina była muzykalna. Ojciec grał ze stryjem na cztery ręce. Babcia też grała. Ja w szkole u sióstr w Warszawie śpiewałam w chórze w kapliwy. Lubiałam śpiewać. Na syberii śpiewaliśmy przeważnie piosenki wojskowe, legionowe, Pierwszą brygadę, Górala, Przybyli ułani pod okienko, Piękna nasza Polska cała. Pan Skinder śpiewał II głosem. Na Syberii dużo osób miało książeczki do nabożeństwa, różańce.

W Bobrach prawosławni mieli święta w innym czasie niż my. I wtedy nikt nie przychodził do pracy. A oni tych świąt mieli bardzo dużo. Potem, z czasem chyba tych mniej ważnych świętych oni przestali obchodzić. Ale w czasie świąt prawosławnych dzieci do szkoły chodziły, bo szkoła nie była uważana za pracę. Do szkoły dzieci chodziły w ubraniach samodziiałowych, szytych. Niektóre dzieci chodziły dalej do szkoły do Niecieczy, bo tam była szkoła 7-oddziałowa. Wiejskich dzieci dalej szło niewiele, od osadników wszystkie dzieci szły. Chodziło się 5 km, a nie wszyscy rodzice chcieli dzieci dowozić. Ale analfabetyzmu na wsi też takiego nie było. Z książki do nabożeństwa wszyscy umieli czytać /w tym języku cerkiewnosłowiańskim/. Starsi ludzie mieli książki do nabożeństwa, a młodzi śpiewali /w cerkwi/. Służącą Zinę ja uczyłam

Maria Ficner-Szostak c.d.

czytać po polsku, ale z niewielkim skutkiem.

Pobożność. Niektórzy osadnicy byli bardzo pobożni. Nasi sąsiedzi jeździli do kościoła co niedziela. A moja rodzina bywała tam rzadko. Księża po kolędzie ojciec zawsze odpowiednio zaopatrzył, ale tak nie byliśmy gorliwi w praktykach religijnych. Tak że ja nawet miałam pewne kłopoty, bo dopiero w szkole u sióstr w 6-ej klasie poszłam do Komunii. Siostry zrobiły mnie bardzo pobożną. A później to skonfrontowałam z życiem.

Były u nas nabożeństwa majowe. Na rogu naszego pola był krzyż, który osadnicy wspólnie postawili, kiedy przejmowali ziemię. Pod tym krzyżem moja babcia odprawiała nabożeństwa majowe, p.wp dla dzieci osadników. Czasami przychodziły też dzieci ze wsi - prawosławne. Ja dekorowałam to miejsce kwiatkami. Koło krzyża wszyscy przechodzący się żegnali, a mężczyźni zdejmowali czapki.

W Boże Narodzenie ojciec był Mikołajem. Przychodziły na choinkę też dzieci od parobka. Każde dostawało jakiś prezent. Na wsi nie ubierali choinek. U prawosławnych raczej uroczystej była obchodzona Wielkanoc. Na Wielkanoc przychodzili ludzie ze wsi do nas z życzeniami i chłopacy strzelać z batów i śpiewać. Zawsze dostali od ojca coś na kieliszek. Na Boże Narodzenie gotowali tam kisiel owsiany. Kiedyś kisiel taki ugotowała nasza służąca. Nikt tego nie mógł jeść. U nas były potrawy tradycyjne: zupa grzybowa, ryba smażona, śledź i jakieś potrawy z makiem. A na Wielkanoc mazurki się piekło, jajka malowało, ale bez jakichś tam wzorków.

W żniwa gdy przychodziły żnieje i ojciec szedł na pole, to najstarsza z nich brała powrósło i gospodarza przewiązywała. Wtedy dostawała złotówkę czy dwa złote. To było na rozpoczęcie żniw. Na zakończenie przychodziły ze sнопkiem. Był też zwyczaj, że służącej, która podawała płaszcz gościowi dawało się złotówkę. A o tę złotówkę było bardzo ciężko. Jak ojciec jechał do miasta na targ, to parobek dostawał złotówkę jako tzw. strawne - taką delegację za pobyt poza domem. A za złotówkę to mógł sobie kupić paczkę machorki, bułkę i śledzia.

Kiedyś na wiosnę ojciec powiózł kartofle do sprzedania. A sprzedać cokolwiek czasami było bardzo ciężko, bo Żydzi jak się zaparli, to obniżyli ceny tak, że się nie opłacało sprzedawać. A innych kupców nie było. Dopiero przed samą wojną spółdzielnia "Rolnik" otworzyła skup w Lidzie i tam były stałe ceny wyznaczone na dany dzień. Handel był też w Bielicy, ale bardzo słaby. Ojcu ta inicjatywa "Rolnika" bardzo się podobała, bo z Żydami handlować było trudno. Pewnego więc dnia ojciec cały dzień przestał na targu z kartoflami, ale nie mógł sprzedać. Wyjechał więc z miasta i wysypał wszystko do rowu. Złotówkę zrobić było bardzo trudno. Dlatego ojciec mój po posadach chodził. Pie-

niądze były potrzebne na stałe remonty i budowy. Bez przerwy doprowadzano dom do porządku. Z fachowcami nie było problemu.

Awanse ludzi z Lidzkiego.

Trudno to uznać za awanse. Wprawdzie Mirek Kunczewicz z Radziwoniszek był głównym księgowym w Łodzi, ale przeżył tragedię. Na jego oczach Rosjanie zastrzelili mu matkę w 1940 roku. Tak że on podobno niósł mózg matki w jakimś naczyniu. Zastrzelili za rzekomą współpracę z Niemcami. Ale ta prawdopodobnie była może pomoc dla AK, bo gdzie by kto współpracował z Niemcami?

A inni. Raczej to była degradacja. Bo ludzie przenosząc się tutaj utracili dobytek, majątki. A ci którzy pozostali. Byłam w 1974 roku na zaproszenie Zynki w Bobrach. Większość młodych ludzi pracuje w Lidzie. A prości kołchoźnicy są niczym, bo przedtem każdy miał krowę, a teraz jedna czy dwie krowy były na całą wieś i te ryczały z głodu. Kołchóz prowadził wychów byczków. Te byczki tak ryczały z głodu, że myśmy z córką tam spać nie mogły. Od samego rana nas raczono samogonem. Odżywiają się ludzie okropnie. Czy to więc jest awans?